

– Czarnuchom dawała i innym Arabom.

Kobieta uchyliła drzwi i gestem zaprosiła mnie do mieszkania. Przywarła tłustymi pośladkami do szafki na buty. Wcisnęłam się w niewielki prostokąt przedpokoju.

– Wszyscyśmy wiedzieli. Skąd sąsiady, to nie wiem, bo przecie nikt nikomu nie zaglądał pod spódnice, ale wie pani, ten jej konkubinat przychodził dzwonić ode mnie, to co, miałam uszy zatykać palcami? – szeptała, mimo że teraz mógł nas usłyszeć jedynie jamnik w kolorze karmelu z oszronionym pyskiem.

Na widok gościa otworzył jedno oko, oszacował potencjalne zagrożenie i ewentualną korzyść w postaci smaczku, a że na żadną z tych rzeczy nie było widoków, odwrócił głowę i kontynuował drzemkę.

– Ino dzieciuszków szkoda – ciągnęła gospodyni. – Maluśkie takie były. – Pokazała dłonią, że sięgały do połowy uda, zawieszając ją nad linoleum z brudem moszczącym się na styku ze ścianą. – Ten młodszy tylko „ma-ma, ma-ma”, więcej nie poradził.

Wyszła do kuchni. Głowa jej drgała, jakby osadzona na sprężynie. Drzenie samoistne albo początki Parkinsona.

Odczytałam machnięcie ręką jako zachętę, żeby do niej dołączyć. Zastanawiałam się, czy zdjąć buty, i być może zrobiłabym to, gdyby nie plamy na podłodze. W kącie dostrzegłam coś, co mogło być zeschniętą psią kupą. Stałam w kuchennych drzwiach. Dwa taborety dźwigały sterty gazet, stół dźwigał kota, którego bystre ślepia rysowały niewidzialną granicę – dla własnego bezpieczeństwa postanowiłam ją uszanować. W popielniczce ćmił się niezduszony papieros. Smuga dymu wywijiała ogonem.

Babinka pomasowała mostek. Pomarszczona skóra twarzy pozwijiała się jeszcze bardziej, gdy wykrzywił ją grymas niezadowolenia. Przymknięte oczy i ściągnięte czoło podkreślały głębię fizycznego cierpienia. Zresztą kto wie, może starowina naprawdę bolała nad losem dzieciuszków, mimo że od czasu, do którego wracała wspomnieniami, minęły blisko cztery dekady.

– Zgaga – wyjaśniła.

Sięgnęła po szklanekę z wodą, która przykleiła się do ceraty w żółte trójkąty. Odgłos przypominający odklejanie się od siebie złączonych rzepów przeszedł w chłupot, którym gasiła pożar w przełyku.

– Wstydu toto nie miało za milimetr. – Przetarła wargi wierzchem dłoni. Cienka linia szminki poszerzyła pęknięcie ust do połowy prawego policzka.
– Kawy się napije?

– Poproszę.

Nauczyłam się nie odmawiać poczęstunku. Mała rzecz, a o ile łatwiej zjednać sobie człowieka. Nie wszyscy chcieli rozmawiać, a jeśli w końcu ulegali, cedzili słowa przez szczeliny w zębach, połykali niewygodne wspomnienia, zniekształcali prawdę.

Prawda, też coś. Każdy głosił swoją. Wcale o nią nie zabiegałam. Otwierałam ludziom usta, zaglądałam do środka, obijałam się o plomby, zapadałam w ubytkach, szorowałam po podniebieniu, pozwalałam mieć się językom, a na koniec, gdy już wypluwali pojedyncze słowa, lepiałam z nich zdania. Przez lata uformowałam rząddek kilku woluminów, taki w sam raz na jedną półkę regału z Ikei, oznaczonego etykietą „Top Seller”, w sąsiedztwie ceny. Cóż, moje *non-fiction* na pewno nie były w „top”, jeśli idzie o sprzedaż, ale liczyłam, że któregoś dnia świat otworzy zaropiałe oczy. Na razie chrapał w najlepsze, a jeśli w przerwach na siku zerkał na młodych pisarzy, łaską obdarzał pozycje z rozrywkowej szuflady, i mniejsza o to, czy chodziło o przebrzydłe słodkie rozterki miłosne, gangusów wieszających ofiary za jelitach wyszarpane wcześniej przez ich własne odbyty, czy podrostków z metką *adult*. Szacunek do siebie znaczył dla mnie więcej niż stan konta, a bycie reportażystką stanowiło trzon, z którego rozrastała się dodatkowa aktywność zawodowa, jak na przykład pisanie do gazet. Gdyby nie było mnie stać na wynajmem mieszkania, wolałabym zamieszkać w altance na ogródku działkowym rodziców, niż sprzedać się

szmataławemu brukowcowi. Pod warunkiem, że wcześniej wyprowadziłby się z niej ojciec.

Pisywałam felietony do magazynów, co nieraz ratowało mnie od śmierci głodowej, ale na spółkowanie z gwiazdą disco polo się nie zgodzę, ni chuja. Odrzuciłam ofertę napisania biografii Witka Balangi, czym przekreśliłam szansę zarobienia bardzo przyzwoitych pieniędzy, choć w nieprzyzwoity sposób. A mogło być tak pięknie, bank wreszcie udzieliłby mi kredytu hipotecznego. Tylko że z kresek, ja wolę tę białą. Natychmiastowy skutek i większe zadowolenie, choć limitowane w czasie. Życ na krechę nie będę. Doradca kredytowy roztaczałby przede mną wizję zamieszkania na własnych trzydziestu metrach kwadratowych. Tak, z odsetkami rozłożonymi na trzydzieści lat i pompowanym materacem na podłodze, bo na ramę łóżka już by mi zabrakło.

Pierdolić. Głód dobra rzecz. Głód motywuje do pracy, dobrobyt rozleniwia, a wtedy jedynym, co daje napęd, okazują się owsiki w dupie.

Czajnik zagwizdał z nagłą. Jakby nie mógł tak stopniowo. Nawet lokomotywa wjeżdża na peron delikatniej, żeby nie budzić bezpańskich psów i bezdomnych ćpunów w zaszczytach bramach okolicznych kamienic. Niech to szlag. Ucisnęłam skronie w nadziei, że to przyniesie ulgę. Młot pneumatyczny w głowie znów zaczął rozwiercać czaszkę. Obrażone kocisko przesunęło się na bok, trącane łapą właścicielki. Na stole pojawiła się szklanka z cienkiego szkła w czerwonym plastikowym koszyczku, kryształowa cukiernica i butelka Amolu.

– Na kaca nie pomoże, ale na ból głowy powinno.

Piorun znów ostrym uderzeniem podstępnie spróbował rozłupać mi czaszkę. Od męczarni uwolniłby mnie jeden łyk, ale nie tego gówna.

– Śmietanki? – zapytała gospodyni.

Kożuch w szklance z kawą mierzył dwa centymetry. Kwasy trawiły ścianki żołądka. Kromkę z miodem, którą przygotowałam sobie na śniadanie, obsrały muchy, zanim zdążyłam umyć rano zęby. Podobnie jak klosz lampy w kuchni, ale jego akurat nie musiałam wkładać do buzi.

– Mogę? – Zerknęłam na zmiętą paczkę fajek całującą się z wazonem, trumną dla zeschniętych... cholera wie, konwalii? Komunijne ślicznotki, zdechłe jak moja wiara w Pamboczka. Zbliżyłam szluga do płomyka przy piecu, wyssałam z niego życie dwoma krótkimi pyknięciami, a potem zaciągnęłam się głęboko. Ulga natychmiast rozlała się kojącą falą. Zakasłałam.

– Przepraszam, chyba coś mnie rozkłada.

Potaknęłam na widok Cremony w granatowym opakowaniu. Przynajmniej będę miała czym rzygać. Amolu nie tknęłam. Kawa przybrała barwę psiej sraczkii.

– Pani nie napisze tego, co powiem?

Nie, no skąd. Przyszłam tu napić się kawy z gipsem i powdychać smród zatęchłego mieszkania. Pot niósł odór przetrawionych lekarstw i nutę czegoś trudnego do zidentyfikowania. Po czasie rozpoznałam w niej Panią Walewską. I starość, tę z gatunku niedomytych, niedopranych, stojącą nad dołem wykopanym w ziemi.

– Niedosłownie. Poza tym nie ujawniam źródła, jeśli rozmówcy sobie nie życzą. Na razie zbieram materiały, jeszcze nie wiem, czyje relacje umieszczę w reportażu.

– To znaczy, że historia naszej Grażynki może nie powstać? Jak ja już synowi mówiłam, że pomagam napisać książkę.

Właśnie o to chodziło, pokazać, że mi nie zależy.

– Pani Moniko. – Zaciągnęłam się mocno, aż zassało policzki do środka.
– Mogę się tak do pani zwracać?

Nerwowe potaknięcie. Jamnik otrzepał się na posłaniu i przyciągnął do kuchni tułów długi jak parówka. Wysiorbał wodę z miski, wzgardził suchą karmą, choć przez chwilę wyglądało, jakby rozważał, czy jednak jej nie zeżreć, i ostatecznie postanowił skrócić żywot, przesypiając go intensywnie.

– Pani Moniko – ciągnęłam. – Na pewno im więcej szczegółów zgromadzę, tym ciekawiej będę mogła przedstawić historię czytelnikom. Ale powiem pani coś, choć może nie powinnam.

Gospodyni pochyliła się w moją stronę. Dym z papierosa wpełzł do jej lewej dziurki w nosie. W zaaferowaniu podważyła językiem haczyki protezy, górna szczęka wysunęła się do przodu.

– Jasne, że każdy potrafi pisać książki, ale żaden pisarz, a już reporter w szczególności, nie jest cudotwórcą. Może i doskonalimy warsztat, styl, ale i tak najważniejsze jest, co piszemy, a nie, jak. Rozumie pani? – kłamałam.

Z wyrazu twarzy wywnioskowałam, że niekoniecznie rozumiała.

– Nawet gdyby ci dorośli już dzisiaj chłopcy chcieli ze mną porozmawiać o tym, co ich spotkało, poznałabym tylko ich punkt widzenia. A przecież byli tacy maleńcy. Ten jeden mówił tylko „ma-ma, ma-ma” – powtórzyłam słowa zwiędłej kobiety. – To nie jest wiarygodny rozmówca. Co innego ktoś taki jak pani, kto patrzył na to wszystko z boku. Z dystansu. Co mi po warsztacie pisarskim, skoro nie mam wiedzy o wydarzeniach z tamtego okresu? Bez pani ten reportaż nie powstanie. – W myślach dodałam, że co najwyżej jeden, dwa rozdziały, bo wstępnie tyle zaplanowałam dla każdej rodziny.

Starowina zmrużyła oczy, zmarszczyła czoło i przez chwilę wyglądała, jakby miała zapytać o udział w zyskach ze sprzedaży. Rozkleiła wargi. Dym z papierosa w popielniczce natychmiast skorzystał z nowej ścieżki. Oblizła usta, a potem zaczęła opowiadać.

– No dobrze, pani Aniu.

– Anito. – Poprawiłam ją.

– Pani Anito, niech będzie. Ja tam nie wiem, czy Grażynka sypiała z tymi Murzynami, ale na pewno miała kochanka. Josef mu było. Potomek żołnierza Wehrmachtu. Widziałam zdjęcia – zarzekała się. – W mundurze z wroną wyhaftowaną na lewej piersi, zaraz nad kieszonką. Czy esesman, to nie powiem. A, teraz sobie przypomniałam, że ja mam zdjęcia Adasia, tego starszego. Z komunii. Czeka pani.